



BOLESŁAW LEŚMIAN

---

**Baśń o pięknej  
Parysadzcie i o ptaku  
Bulbulezarze**

BOLESŁAW LEŚMIAN

KLECHDY SEZAMOWE

## *Baśń o pięknej Parysadzcie i o ptaku Bulbulezarze*

Daleko, daleko, za górą, za rzeką, za zielonym borem, za modrym jeziorem, w pobliżu rozstaju, w sąsiedztwie ruczaju stał niegdyś pałac, a obok pałacu — ogród, a obok ogrodu — droga, która prowadziła nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd.

W tym pałacu mieszkało dwóch braci: Bachman i Perwic, wraz z siostrą Parysadą. Parysada była tak piękna, że sama zawsze dziwiła się swojej urodzie. Oczy miała pełne zdziwienia, a usta pełne śmiechu. Śmiała się nieustannie. Nigdy łza nie zabłysła w jej oczach. Nie umiała płakać.

Obydwoj bracia bardzo ją kochali i spełniali każde jej życzenie.

Pewnego razu Bachman i Perwic wyjechali na polowanie. Parysada sama w domu została. Podbiegła do okna i przez okno wyjrzała do ogrodu. W ogrodzie słońce świeciło, w słońcu błyskały kwiaty, w kwiatkach złościły się pszczoły, które miód zbierały.

Parysada zaśmiała się i rzekła sama do siebie:

Pszczoła po kryjomu  
W kwiatkach szuka miodu.  
Nudzi mi się w domu,  
Pójdę do ogrodu.

Wdzieję strój pstrokaty  
Dziwaczno kroju  
I pomiędzy kwiaty  
Pobiegnę w tym stroju!

Przywdziała natychmiast strój pstrokaty i pobiegła do ogrodu.

Biegła od altany do altany, od klombu do klombu, z alei w aleję, ze ścieżki na ścieżkę, od słońca, od wiosny — w cień dęba i sosny, a z owego cienia — ponad brzeg strumienia, a z brzegu do jaru, a z jaru — na wzgórze, a ze wzgórze — w gąszcze, między bzy i róże!

Biegła tak wciąż, aż wreszcie zabiegła na sam koniec ogrodu. Na samym zaś końcu plot się jarzy w słońcu, a pod płotem — mech zielony, a w mchu rośnie grzyb czerwony.

— Co za dziwny grzybek! — zawołała Parysada. — Jedną ma tylko nóżkę, a na tej nóżce czerwoną czapkę! Gdy go obcasem w tę czapkę uderzę, natychmiast z niej kłęb kurzu wyleci, jak dym z komina.

I Parysada uderzyła grzybek obcasem.

Ze spróchniałego grzybka wystrzelił kłęb kurzu. Kłęb się zakłębił, kurz się zakurzył. Grzybek zniknął nagle z oczu Parysady, a na miejscu grzybka zjawił się karzełek w czerwonej czapce. Karzełek spojrzął na Parysadę i zaczął płakać.

W pobliżu płotu leżała rzepa, którą ktoś przez plot wrzucił do ogrodu. Karzełek, płacząc, pobiegł do rzepy. Usiadłszy na rzepie, zalewał się łzami, zapłakane ślepie ocierał kwiatami. Ocierał i płakał, płakał i ocierał i na Parysadę po przez łyż spozierał.

— Karzełku! — zawołała Parysada. — Czemu tak rozpaczasz? Czemu się łzami zalewasz? Może za mocno uderzyłam ciebie obcasem w czapkę czerwoną? Lub może cię boli to, że przestałeś być grzybkiem pod płotem, a zamieniłeś się w karzełka?

Śmiech, Uroda, Łzy

Ogród

Czary

Łzy

— Płacz razem ze mną! — odpowiedział karzełek, płacząc coraz głośniejsze i załamując drobne mchem porośnięte dłonie.

— Płakałabym chętnie, ale nie mogę! — odrzekła Parysada. — Nie umiem płakać. Nie wiem nawet, jak to trzeba oczami mrugać, żeby z nich łzy wytrysły. Nie mam wreszcie powodu do płaczu. Jestem szczęśliwa i wesoła. Mam wszystko, co mieć pragnę. Mam piękne oczy, piękne usta i piękne włosy. Mam dwóch braci, którzy spełniają każde moje życzenie. Mam pałac i ogród i mnóstwo sukien złotych, srebrnych, błękitnych, zielonych, purpurowych i pstrokatych. Trudno mi płakać bez powodu. Powiedz mi lepiej, dlaczego płaczesz i dlaczego załamujesz dłonie?

Karzełek wsparł się łokciem o brzeg rzepy i zawołał:

— Płaczę nad tobą i nad tobą załamuję dłonie! Masz bowiem urodę, masz dwóch braci i pałac i ogród i mnóstwo sukien bogatych — ale nie masz trzech dziwów, które mieć powinnaś! Gdybyś miała te trzy dziwy, byłabyś najszczęśliwszą istotą na świecie!

— Cóż to za trzy dziwy? — spytała zaciekawiona Parysada.

Karzełek przestał płakać i rzekł:

— Trzy dziwy, bez których trudno istnieć na świecie! Po pierwsze — dąb-samograj, po wtóre — struga-złotosmuga, po trzecie — ptak Bulbulezar. Dąb-samograj ma liście, które, zamiast szumieć, grają, niby harfy, a gałęzie, które, zamiast skrzypieć, wtórują, niby basetle. Struga-złotosmuga posiada tę czarodziejską właściwość, że dość z niej kroplę jedną zaczerpnąć i do basenu przelać, a kropla ta zwiększa się, olbrzymieje, wzbiera, napełnia po brzegi basen cały i wytryska z basenu w błękit strugą złocistą, która opada i znów się wznosi nieustannie, trafiając zawsze w obręb basenu i nigdy nie przelewając się przez brzegi. Najciekawszym jednak dziwem jest ptak Bulbulezar. Skrzydła ma pawie, szyję — łabędzią, dziób — bociani, pazury — sępie, a oczy jaskółcze. Głosem ludzkim gada, bajki opowiada. Co opowie bajkę — to zapali fajkę. Tylko ów jest szczęśliwy, kto posiada te trzy dziwy. Płacz więc, Parysado, bo nie masz ani dęba-samograja, ani strugi-złotosmugiej, ani ptaka Bulbulezara!

Czary, Kuszenie

— Płakać nie mogę, płakać nie umiem! — odrzekła Parysada. — Powiedz mi lepiej, gdzie się znajdują te trzy dziwy, abym je mogła posiadać?

Droga

— O biedna, nieszczęśliwa Parysado! — zawołał karzełek. — Dziwy te znajdują się w oddali, ale droga ku nim leży w pobliżu. Jest to ta sama droga, która, wijąc się pod płotem twego ogrodu, prowadzi nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Nieraz zapewne obojętnym okiem spoglądałaś na tę drogę, nie wiedząc o tym, że jest to droga zaklęta, sennym zieleń porośnięta, pełna ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia. Tą drogą iść trzeba przez dni dwadzieścia wprost przed siebie, ani kroku nie zwalnając, ani z drogi nie zbaczając. Po dniach dwudziestu zobaczysz skałę, a pod skałą — źródło. Zatrzymasz się u źródła pod skałą i pierwszego przechodnia zapytasz, gdzie się znajduje dąb-samograj, struga-złotosmuga i ptak Bulbulezar. Pierwszy ów przechodzień wskaże ci dalszą drogę do tych dziwów.

Parysada chciała jeszcze spytać karzelka o dokładniejsze wskazówki i szczegóły podróży, ale karzełek zniknął nagle z jej oczu. Nie było śladu karzelka, ani grzybka pod płotem. Została tylko rzepa, którą ktoś rzucił przez płot do ogrodu.

Parysada wróciła do pałacu. Żądza posiadania trzech dziwów tak ją opętała i tak niecierpliwiła, że nie mogła sobie dać rady. Biegała po pokoju z kąta w kąt, tam i z powrotem. Zmęczona bieganiem, siadła na krześle. Znużona siedzeniem na krześle, podbiegła do okna i siadła na oknie. Zniecierpliwiona siedzeniem na oknie, podbiegła do stołu i siadła na stole.

Pokusa, Nuda

Właśnie w tej chwili dwaj bracia Parysady wrócili z polowania. Obydwaj zdziwieni spojrzeli na Parysadę.

— Siostrzyczko moja kochana! — zawołał Bachman. — Co ci się stało, że siedzisz na stole? O ile pamiętam, nigdy dotąd na stole nie siadywałaś.

— Siedzę na stole, żeby nie siedzieć na oknie — odparła Parysada.

— A któż ci kazał siedzieć na oknie? — spytał Perwic.

— Siedziałam na oknie, żeby nie siedzieć na krześle — odrzekła Parysada.

— Czemuż nie chciałaś siedzieć na krześle? — rzekł zdziwiony Bachman.

— Nie tylko na krześle, ale na żadnym miejscu usiedzieć nie mogę! Nudzę się i nudzę. Niecierpliwę się i niecierpliwie. Smucę się i smucę! Gdybym umiała płakać, tak bym

się głośno rozpląkała, że musielibyście uszy zatykać i z pałacu co tchu zmykać! Jestem nieszczęśliwa, nieszczęśliwa, nieszczęśliwa!

— Czegóż ci brak, siostró nasza? — zawołali chórem Bachman i Perwic. — Powiedz jedno tylko słowo — a życzenie twoje natychmiast będzie spełnione!

— Wielka jest moja niedola! — wołała Parysada, zeskakując ze stołu. — Smutek mój nie ma granic! Bracia moi, ratujcie mnie, ratujcie! Brak mi do szczęścia trzech rzeczy, trzech cudów, trzech dziwów: brak mi dęba-samograja, brak mi strugi-złotosmugiej, a najbardziej mi brak ptaka Bulbulezara!

— Parysado! — zawołał Bachman. — Nie pozwolę na to, abys z powodu braku tych trzech dziwów znosiła takie męki. Dostarczę ci i dęba-samograja i strugi-złotosmugiej i ptaka Bulbulezara. Muszę wpierw jednak wiedzieć, gdzie się znajdują te dziwy.

— Bachmanie! — rzekła Parysada. — Dziwy te znajdują się w oddali, lecz droga do nich zaczyna się w pobliżu, tuż pod płotem naszego ogrodu. Droga to zakłeta, sennym zielem porośnięta, pełna ciszy i milczenia, i dziwnego przeznaczenia. Przez dni dwadzieścia trzeba iść tą drogą wprost przed siebie, ani kroku nie zwalnając, ani z drogi nie zbaczając. Po dniach dwudziestu zobaczysz skałę, a pod skałą źródło. Staniesz koło źródła pod skałą i zaczekasz, aż się zjawi pierwszy przechodzień. Kto pierwszy się zjawi, ten ci dalszą drogę wskaże.

— Kto ci o tym mówił? Kto o tym powiadał? — spytał Bachman.

— Mówił mi o tym, powiadał o tym mały karzelek, co się pod płotem z grzybka narodził w naszym ogrodzie i znikł mi z oczu, jak kamień w wodzie!

— Parysado! — rzekł Bachman. — Spełnię twe życzenie w jedno okamgnienie! Mój konik bułany posłuszny ostrodze. Popędzę, polecę po zakłetej drodze. Po zakłetej drodze, po ziemskim obszarze: trzy dziwy, trzy cuda przywiozę ci w darze!

Bachman natychmiast osiodłał konia bułanego i stanął konno przed pałacem, aby się z siostrą i z bratem pożegnać.

Parysada spojrziała na Bachmana i, wzruszona jego odjazdem, zawołała:

— Bracie mój najstarszy, drogi mój Bachmanie! Trwogą mnie przejmuje nasze pożegnanie! Podróż twa zakłeta, straszna i daleka. Nie wiadomo, co cię w tej podróży czeka. Może zginiesz w kraju obcym i nieznanym i już nie powrócisz na koniu bułanym! Chętnie bym cię łzami zęgnęła na drogę, lecz nie umiem płakać i płakać nie mogę!

— Nie płacz, siostró moja, i nie ucz się płakać! — odrzekł Bachman wesoło. — Nie boję się strachów, nie lękam się złych czarów. Lubię drogi błędne, lubię podróże zakłete, lubię przygody niespodziane. Raduję się na myśl, że spełnię życzenie twoje, dostarczając dziwów troje! Powrócę do domu na koniu bułanym — ale powrócę z dębem-samograjem, ze strugą-złotosmugą i z ptakiem Bulbulezarem. Na pożegnanie dam ci sztylet złoty w pochwie srebrnej. Obnażaj go co dzień wieczorem, gdy słońce zajdzie za borem, i przeglądaj się uważnie jego ostrzu. Jeśli ostrze będzie czyste, połyskliwe i złociste — to znaczy, że jestem zdrow i żyw i nic mi się złego nie stało. Lecz jeśli na ostrzu kropla krwi się zjawi i sztylet zardzewieje — to znaczy, że zginąłem gdzieś w kraju nieznanym i że już nie wrócę na koniu bułanym!

Bachman wyjął z zanadru sztylet złoty w pochwie srebrnej i podał go Parysadzie.

Parysada, ukrywszy sztylet na piersi, wspięła się na palcach, ażeby ucałować na pożegnanie brata, który się z konia ku niej przechylił. Zbliżył się i Perwic, aby się z Bachmanem pożegnać.

Pożegnali się, pocałowali się, dali sobie uścisk bratni, spojrzeli po raz ostatni — i Bachman spiął konia ostrogami.

Biegnie konik bułany przez łąki i przez lany, przez kurze i przez kwiaty — w nieznanne biegnie światy. Nad nim słoneczna spieka, przed nim droga daleka, droga dziwna i kręta, coraz bardziej zakłeta!

Perwic i Parysada długo patrzyli w ślad za odjeżdżającym Bachmanem, aż wreszcie zniknął im z oczu.

Smutni wrócili do pałacu, narzekając na los, który ich brata zmusił do tak niebezpiecznej podróży. Przebiegli samotne i puste pokoje, przy otwartym oknie stanęli oboje; stanęli przy oknie, by na los narzekać, i na powrót brata jęli razem czekać.

Pożegnanie

Czary, Broń

Jedzie Bachman, jedzie tam, gdzie droga wiedzie. Jedzie, kroku nie zwalniając, ani z drogi nie zbaczając. Mija puste błonia i mówi do konia:

— Biegnij, koniu bułany, przez łąki i przez łany, przez jary i przez kwiaty — w nieznanne biegnij światy. Biegnij drogą zakłęta, sennym zielem porośniętą, pełną ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia.

Koń słyszy słowa Bachmana i rozumie jego mowę. Biegnie po drodze zakłętej bez znużenia, bez zmęczenia, bez przestanku, bez wytchnienia.

Droga przed nim pusta i bezлюдna, jeno coraz bardziej zakłęta. Taka zakłęta, że aż strach bierze, a w oczach ciemno się robi, choć słońce świeci na niebie. Lecz Bachman jest odważny i strachu nie czuje. Przyjemnie mu i wesoło bieć po drodze zakłętej!

Przez dni dwadzieścia pędził wprost przed siebie, aż wreszcie po dniach dwudziestu ujrzał skałę, a pod skałą źródło. Zeskoczył z konia i stanął przy źródle, pod skałą.

Ledwo stanął — a już na spotkanie mu wyszedł z gęstwiny drzewnej derwisz<sup>1</sup> stary.

— Pierwszy to przechodzień, który mi się na drodze zjawił, jego więc o drogę dalszą zapytam — pomyślał Bachman, pilnie przyglądając się derwiszowi.

Nigdy jeszcze Bachman nie widział tak starego derwisza. Wzrostu był olbrzymiego, a karku pochylego. Broda mu od starości tak się rozrosła, że sięgała ziemi i włóczyła się po drodze. Wąsy tak się gęsto rozkrzewiły pod nosem, że przesłaniały szczelnie usta, niby wiecha słomiana. Brwi i rzęsy tak się gęstwiły nad oczami, jak sitowie. Nie widać było oczu, ani ust, ani nosa, jeno samą włochość, wąsatość i brodatość. Zdawało się, że to nie człowiek idzie, lecz żywy snop siana.

Derwisz podszedł do Bachmana i stanął w milczeniu.

— Derwiszu! — rzekł Bachman. — Jadę z siostry polecenia, nie mam czasu do stracenia. Wskaż mi drogę, wskaż mi miejsce, gdzie się znajduje dąb-samograj, struga-złotosmuga i ptak Bulbulezar.

Począł derwisz coś mruzczyć i bełkotać, i gadać, i mamrotać, ale gęstwa wąsów usta mu przesłaniała i mówić przeszkadzała. Mówił żwawo i raźnie, lecz mówił niewyraźnie. Mówił grzecznie, przyjemnie, lecz zgoła nadaremnie! Nie mógł bowiem Bachman nawet słowa jednego zrozumieć.

— Derwiszu! — zawołał. — Gadasz na próżno! Słowa ci grzęzną w wąsach i nie dolatują moich uszu. Słyszę tylko mruczenie i bełkotanie. Muszę ci najpierw ostrzyć brodę i wąsy i rzęsy i brwi, a potem dopiero będę mógł się z tobą porozumieć. Mam przy sobie nożyce-wyrwiwłosy. Pozwól więc, że cię ostrzyję.

Derwisz skinął głową na znak, że pozwala.

Bachman wyciągnął z kieszeni nożyce-wyrwiwłosy i zabrał się natychmiast do strzyżenia.

Nożycami-wyrwiwłosami obciął brodę derwiszowi. Spadła broda pod skałę, przesłoniła źródło całe. Dzwoniąc wciąż nożycami, zabrał się do brwi i do rzęs, ażeby odsłonić źrenice dziwnego starca. Zadzwończyły wnet nożyce — odsłoniły się źrenice. Bachman tymczasem obciął derwiszowi olbrzymie wąsy. Spadły wąsy w pobok skały, a usta się ukazały. Derwisz mrugał oczami i poruszał ustami.

— Chwała Bogu, chwała Bogu! — wołał radośnie. — Mogę teraz patrzeć w dale, mogę mówić zrozumiale! Zdaje mi się, że odmłodziłem, choć mam już trzysta trzydzieści trzy lata. Dwieście lat temu straciłem ojca i matkę, a sto lat temu straciłem pamięć wszystkiego, co się na świecie dzieje. Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! Chciałbym już zasnąć snem wiekuistym i odpocząć w ciszy mogilnej. Ale nie wolno mi umrzeć dopóty, dopóki jakikolwiek rycerz śmiały nie zdobędzie dęba-samograja, strugi-złotosmugiej i ptaka Bulbulezara. Już tysiące rycerzy chciało zdobyć te dziwy, lecz wszyscy zginęli, nic nie zdobywszy.

— Właśnie chcę cię spytać o drogę do tych dziwów — zawołał Bachman.

— Szalony młodzieńcze! — odparł derwisz. — Poniechaj swego zamiaru, bo zginiesz, jak inni zginęli.

— Zamiar mój jest nieodwołalny — odpowiedział Bachman. — Nie cofnę się z drogi, choćby mnie zguba na tej drodze czekała! Wskaż mi drogę — lub pójdę sam, bez twojej

<sup>1</sup>derwisz — żebrzący mnich muzułmański żyjący w ascezie. [przypis edytorski]

Starość

Starość, Śmierć, Obowiązek

Śmierć bohaterska

pomocy!

— Nieszczęsny śmiałku! — zawołał derwisz. — Bez mojej pomocy i bez moich wskazówek zginąłbyś od razu, wołę więc dać ci wskazówki i rady. Gdyby ci się wyprawa po te trzy dziwy udała, zasnąłbym nareszcie snem wiekuistym i odpocząłbym w ciszy mogilnej po trzystu trzydziestu trzech latach istnienia na ziemi. Nie wierzę jednak w twoje zwycięstwo. Jestem pewien, że zginiesz, jak zginęli inni. Widzę wszakże, że jesteś uparty i że nie powstrzymam cię od twoich zamiarów. Słuchaj więc uważnie, co powiem. Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! Już od stu lat duchy niewidzialne każą mi istnieć wbrew woli w pobliżu tej skały, pod którą źródło tryska. Tu muszę trwać, tu muszę żyć, tu muszę istnieć po to tylko, aby takim, jak ty, szaleńcom wskazywać drogę do trzech dziwów, których posiadanie nęci ludzi, chciwych czaru i cudu. Nie wolno mi zasnąć, nie wolno mi umrzeć, nie wolno mi spocząć! Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony!

Mówiąc to, derwisz wyjął z torby, którą miał u pasa, kulę złotą i podał Bachmanowi.

— Gdy dosiędziesz konia — mówił dalej — rzuć tę kulę przed siebie. Potoczy się ona po drodze, ty zaś dąż w ślad za nią. Dąż w ślad za nią, śledź oczyma, aż się ta kula zatrzyma. Zatrzyma się w tajemnicy u stóp Góry-Cmentarnicy — bo tak się ta góra nazywa. Zeskoczysz wówczas z konia i zostawisz go samopas. Koń się z miejsca nie ruszy i będzie czekał na ciebie. — Słuchaj teraz uważnie, co masz czynić dalej. U stóp Góry-Cmentarnicy znajdziesz ścieżkę-złotobrzeżkę. Pójdiesz ścieżką-złotobrzeżką pod górę. Ścieżka ta rozszerza się w drogę obszerną. Po obu stronach drogi stoją posągi kamienne. Nie są to posągi, jeno ludzie żywi, w martwy kamień zakłęci. Pomiedzy posągami idź prosto przed siebie, aż na sam szczyt góry. Pamiętaj, abyś szedł przed siebie, a nie oglądał się za siebie. Będą cię straszły duchy niewidzialne. Oczy twoje nic nie zobaczą, jeno uszy twoje posłyszają wrzaski i wołania, groźby i szczekania, i szmery, i śpiewy, i martwe powiewy... Jeśli się obejrzysz za siebie — natychmiast się zamienisz w posąg kamienny, aby zwiększyć liczbę tych posągów, które stoją po obu stronach niebezpiecznej drogi. Idź więc prosto przed siebie, aż dojdiesz do samego szczytu Góry-Cmentarnicy. Na samym szczycie góry zobaczysz cokół marmurowy. Na tym cokole stoi klatka złota. W tej klatce złotej siedzi ptak Bulbulezar. Nie zważaj na groźby i wrzaski tego ptaka, jeno co prędzej pochwyć w dłonie klatkę złotą — wszelkie niebezpieczeństwo minie, wrzaski duchów niewidzialnych ucichną. Możesz wówczas śmiało obejrzeć się za siebie i możesz rozkazywać Bulbulezarowi, który odtąd będzie posłuszny twym rozkazom. Oto wszystko co ci chciałem powiedzieć. Bulbulezar zaś powie ci, co masz czynić dalej.

— Spełnię dokładnie wszystkie twoje rady, mądry derwiszu! — zawołał Bachman. — Jestem pewien, że zdobędę trzy dziwy na Górze-Cmentarnicy i że będiesz mógł zasnąć snem wiekuistym i odpocząć po trzystu trzydziestu trzech latach istnienia na ziemi.

— Oby tak się stało! — szepnął derwisz, wznosząc oczy ku niebu. — Nie wierzę jednak, abyś celu dopiął! Już tylu mężnych rycerzy przed tobą poszło na Górę-Cmentarnicę, a nikt z nich stamtąd nie wrócił. Obejrzeli się za siebie — i zamienili się w posągi, w kamienne dziwolągi. Raz jeszcze ostrzegam ciebie: poniechaj szalonego zamiaru, wyzbądź się chęci posiadania trzech dziwów nad dziwy, nie zbliżaj się nawet do Góry-Cmentarnicy! Co prędzej wracaj do domu i zapomnij o dębie-samograj, o strudze-złotosmugiej i o ptaku Bulbulezarze.

Uśmiechnął się Bachman i odpowiedział:

— Derwiszu, derwiszu, próżne twe przestrogi! Już się nie zawrócę z tej zakłętej drogi! Dojdę aż do szczytu Góry-Cmentarnicy i zdobędę dziwy, pełne tajemnicy!

Wskoczył Bachman na siodło za jednym podskokiem, wokoło wesoło spojrział mężnym okiem, derwiszowi staremu grzecznie się uklonił, ściągnął cugle<sup>2</sup> złociste, ostrogą zadzwonił, rzucił kulę przed siebie — a ta kula złota potoczyła się sama, jak żywa istota.

Potoczyła się kula po drodze, połyskując w słońcu. Bachman konno w ślad za nią pędził. Coraz szybciej toczyła się kula, coraz szybciej biegł za nią koń bułany, i coraz szybciej zbliżał się Bachman do celu swojej podróży.

Zbliżał się i zbliżał, aż wreszcie ujrzał w oddali Górę-Cmentarnicę. Ujrzał Górę-Cmentarnicę i zawołał radośnie!

<sup>2</sup>cugle — wodze; pasy do kierowania koniem. [przypis edytorski]

— Tocz się, tocz się, kulo złota! Biegnij, koniu mój bułany! Gwiazda w niebie już migota, wieją zmierzchy i tumany! Dziś, nim nocne przyjdą chmury, chcę już być na szczycie góry!

Ledwo tych słów domówił — a kula potoczyła się do stóp Góry-Cmentarnicy i nagle znieruchomiała. Zeskoczył Bachman z konia, a koń bułany stanął, jak wryty. Niewidzialne moce kazały mu tak stać i czekać na powrót swego pana.

Bachman zbliżył się do Góry-Cmentarnicy i od razu spostrzegł ścieżkę-złotobrzeżkę, która w zmierzchu wieczornym tliła się złościście dziwnym gromnicznym światłem.

Nieustraszony Bachman wstąpił na ścieżkę-złotobrzeżkę i tą ścieżką jął się wspinać pod górę. Wspinał się i wspinał, szedł i szedł coraz wyżej, coraz chyżej, aż wreszcie ścieżka-złotobrzeżka rozszerzyła się w drogę obszerną, w drogę przestronną.

Mrok nocny już zapadł. Cicho było i bezludnie na drodze obszernej, na drodze przestronnej. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrzękły w tej martwocie! Martwo i pusto i straszno i bezludnie.

Pomimo mroku nocnego dojrzał Bachman po obu stronach drogi nieruchome posągi — kamienne dziwołagi. Byli to rycerze żywi, w martwy kamień zakłęci. Chcieli dotrzeć do szczytu Góry-Cmentarnicy, aby zdobyć trzy dziwy, trzy cuda — lecz nie dotarli: za siebie się obejrżeli — i w posągi skamienieli.

Stał jeden obok drugiego, posąg obok posągu, dziwołag obok dziwołagu. Długie cienie padały od nich na drogę, tak że Bachman, idąc po drodze, następował na te cienie co chwila, następował, nadeptywał — lecz podróży nie przerywał.

Szedł dalej śmiało i odważnie. Dotąd nie słyszał żadnych głosów i nie spotkał żadnych strachów. Aż tu nagle poczuł, że się coś za nim porusza... O mało się nie obejrzał za siebie, lecz natychmiast przypomniał sobie radę derwisza, więc uśmiechnął się i szedł dalej. Coś się znów za nim poruszyło i zbliżyło się z tyłu do jego stóp... Zdawało się Bachmanowi, że ktoś niewidzialny schwyci go nagle za stopy... Szedł jednak dalej, nie oglądając się za siebie. W tej chwili posłyszał za sobą Szept i Wrzask.

— Zabiję cię, zabiję! — wrzeszczał Wrzask.

— Zatrzymaj się, nie idź dalej! — szeptał Szept.

Bachman zadrżał — ale się nie obejrzał.

— Wolalbym mieć do czynienia z widzialnymi strachami, niż z niewidzialnymi — pomyślał, blednąc na twarzy. — Najstraszniej jest wówczas, gdy się słyszy z tyłu, za plecami, czyjś Szept i Wrzask, a nie widzi się tego, kto szepcze i wrzeszczy.

Zaledwo to pomyślał, uczuł Dech martwy, Dech trupi za plecami.

— Już go dotykam, już go owiewam! — dyszał Dech.

Mróz przeszedł po kościach Bachmana, zimny pot wystąpił mu na czoło. Długie cienie posągów wydłużyły się jeszcze bardziej pod jego stopami. Mrok nocny jeszcze bardziej pociemniał. Na drodze obszernej, na drodze przestronnej pusto było i bezludnie. Żadnych kształtów, żadnych postaci — nic, prócz Szoptów i Wrzasków, i martwych Oddechów.

— To on, to on! Chwytaj go, chwytaj! — wrzeszczał Wrzask, coraz bardziej zbliżając się do Bachmana.

— Uciekaj, póki czas! Strzeż się pogoni! — szeptał Szept i też się zbliżył z tyłu do Bachmana.

Bachman zrobił kilka kroków naprzód, nie oglądając się za siebie, lecz w tej chwili posłyszał za sobą stapanie czyichś nóg, które biegly ku niemu.

— Chwytaj go, chwytaj! — wrzeszczał Wrzask.

— Zginąłeś, zginąłeś! Nie ujdiesz pogoni! — szeptał Szept.

I posłyszał Bachman za sobą drugie i trzecie stapanie, a potem głuchy odgłos tysiąca rozbieganych stóp... Niewidzialna pogoń zbliżała się ku niemu. Tysiące stóp bieгло i pełzło ze zgiełkiem, szmerem i tętentem. Coraz bliżej, coraz chyżej... Słyszał je tuż za sobą o krok, o pół kroku... I uczuł nagle tuż za plecami ruch i rozruch tysiąca niewidzialnych, tajemniczych rąk, które się kłębiły i prężyły, i wyciągały ku niemu, aby go pochwycić. Czyje to były ręce? Do kogo należały? Kto je wyciągał? Kto chciał nimi pochwycić Bachmana? Co za postacie, co za potwory kłębiły się za jego plecami? Jakie oczy, jakie twarze miały te potwory? — Lecz nie widać było twarzy i nie widać było oczu, jeno słycać było

Cień

Strach, Czary, Dźwięk,

Ciemność, Kuszenie, Duch

wraży<sup>3</sup> tętent, zgiełk i szmer w pomroczu!

I nie widać było rąk, jeno słycać było — ruch! Niewidzialne czary wkrąg! Niewidzialny duch! A ręce się prężyły i wyciągały... Słycać było, jak trzaskają w stawach — suche, kościste ręce. I zdawało się Bachmanowi, że już go dosięgają, dotykają, że za chwilę już go pochwyca...

Zachwiały się pod nim nogi, cała twarz zdrętwiała mu od strachu, serce w piersi zamarło. Otworzył szeroko przerażone oczy i obejrzał się za siebie...

Obejrzał się — i natychmiast skamieniał w posąg martwy. Długi cień od nowego posągu upadł na drogę obszerną, na drogę przestronną i zmieszał się z cieniami dawnych posągów — kamiennych dziwolągów.

Cisza nagle zapanowała na Górze-Cmentarnicy.

Zamilkły Szepty i Wrzaski, i Tętenty, i Stąpania.

Pierzchła wszelka złuda — skończyły się cuda. Po skończonym cudzie — pustka i bezludzie. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrękiły w tej martwocie.

\*

Tymczasem w pałacu Parysada i Perwic niecierpliwie wyczekiwali powrotu Bachmana. Przez dni dwadzieścia co dzień wieczorem, gdy słońce zaszło za borem, Parysada ze srebrnej pochwy wyjmowała sztylet złoty i przyglądała się uważnie jego ostrzu. Przez dni dwadzieścia ostrze było czyste, połyskliwe i złociste, więc Parysada z uśmiechem mówiła do Perwica:

— Brat nasz zdrow i żyw i nic mu się złego nie stało.

Nadszedł dzień dwudziesty pierwszy. Minął świt, minęło południe i nastąpił wieczór. Słońce zaszło za borem, i Parysada, jak zazwyczaj, obnażyła sztylet złoty, aby się przyjrzeć jego ostrzu.

Przyjrzała się i pobladła.

— Perwicu! — szepnęła głosem drżącym. — Na ostrzu krwi kropla nagle się zjawiła, sztylet zardzawiła! Brat nasz Bachman zginął gdzieś w kraju nieznanym i już nie powróci na koniu bułanym! Płakałabym chętnie, płakałabym rada, lecz nie umiem płakać, choć płakać wypada. Grób dla mnie wyoraj w samym środku świata! Miałam brata wczoraj — dzisiaj nie mam brata! Nie mam ani brata, ani dęba-samograja, ani strugi-złotosmugiej, ani ptaka Bulbulezara!

— Nie narzekaj, siostrzo, nie załamuj dłoni! Konik mój cisawy wart stu innych koni! Polecę ja na nim choćby na skraj świata. Zemszczę się co prędzej za śmierć mego brata! Przyjadę z powrotem krwawy, ale żywy — przywiozę ci w darze trzy cuda, trzy dziwy!

— Nie puszczę cię, Perwicu, nie puszczę! — zawołała Parysada. — Zginiesz tak samo, jak zginął Bachman. Nie znasz niebezpieczeństw, które czyhają na ciebie po drodze zakłętej. Jesteś teraz jedynym moim bratem. Zostań w domu, zostań w domu! Wolę się wyrzec trzech dziwów, niż stracić ciebie!

— Zostałbym w domu, gdybym był pewien, że możesz się obejść bez dęba-samograja, bez strugi-złotosmugiej i bez ptaka Bulbulezara. Lecz widzę ja dobrze, że pragniesz tych trzech dziwów. Wolisz je mieć, niż nie mieć. Wolisz je posiadać, niż nie posiadać.

— To prawda, że wolę je mieć, niż nie mieć. I to prawda, że wolę je posiadać, niż nie posiadać. Nie chcę jednak dla pozyskania tych dziwów narażać twego życia.

— Nie chcesz narażać mego życia, ale chcesz pozyskać te dziwy — rzekł z uśmiechem Perwic.

— To prawda, że chcę pozyskać te dziwy — szepnęła Parysada. — Brak mi ich tak bardzo, że rady sobie dać bez nich nie mogę! To mi brak dęba-samograja, to znów strugi-złotosmugiej, to znów ptaka Bulbulezara. Najczęściej jednak brak mi ptaka. Nie widziałam go na oczy, a brak mi go na niewidziane. Wczoraj dzień cały chodziłam z kąta w kąt po pokoju i wciąż powtarzałam: Bulbulezar, Bulbulezar, Bulbulezar — a dziś w nocy śnił mi się właśnie Bulbulezar. Dziób otwierał, mrugał okiem i poważnym chodził krokiem.

<sup>3</sup>wraży — wrogi, nieprzyjazny. [przypis edytorski]



— Trudno! — zawołał Perwic. — Jeśli sam Bulbulezar we własnej osobie śnił ci się dzisiaj w nocy, muszę ci go dostarczyć. Natychmiast konia osiodłam i w drogę wyruszę dziś jeszcze.

Pobiegł Perwic na podwórze, osiodłał konia cisawego i stanął konno przed pałacem, aby się z siostrą pożegnać. Parysada wspięła się na palcach, żeby się z bratem na pożegnanie pocałować, a on tymczasem wyjął z zanadru różaniec perłowy, podał jej i rzekł:

— Weź, Parysado, ten różaniec perłowy i co dzień o poranku przebieraj bez przestanku perły tego różańca. Dopóki się perły swobodnie na nici złotej przesuwają będą, dopóty wiedz, że jestem zdrow i żyw i nic mi się złego nie stało. Lecz, jeśli perły stężeją i wzajem się szepią, i bez ruchu do złotej nici się przysklepią, tak że nie będziesz ich mogła przesuwają, wówczas wiedz, że zginąłem w nieznanym ustroniu i że już nie wrócę na cisawym koniu.

Ściągnął Perwic cugle, spiął konia ostrogą i pojechał przed się — tajemniczą drogą.

Jechał, kroku nie zwalniając, ani z drogi nie zbaczając. A droga była zakłeta, sennym zielem porośnięta, pełna ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia.

Po dniach dwudziestu jazdy nieustannej ujrzał Perwic skałę, a pod skałą źródło.

Zeskoczył z konia i stanął koło źródła, pod skałą. Ledwo stanął — a natychmiast z lasu wyszedł mu na spotkanie derwisz stary.

— Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! — wołał derwisz. — Już trzysta trzydzieści trzy lata trwam na tym świecie, i nie mogę zasnąć snem wiekiustym, ani odpocząć w ciszy mogilnej! Duchy niewidzialne każą mi żyć i czuwać w pobliżu tej skały, abym młodym szaleńcom wskazywał drogę do trzech dziwów zaklętych!

— Derwiszu! — zawołał Perwic. — Chcę właśnie prosić o wskazanie mi tej drogi!

— Szaleńcze! — odrzekł derwisz. — Chcesz zginąć, jak zginęli inni, którzy tam poszli? Niedawno pewien młody rycerz, nie słuchając mych przestroż, udał się w tę podróż niebezpieczną i już nie powrócił. Zginął, jak zginęli inni, chociaż się zdawał śmiały i odważny!

— To był mój brat! — szepnął Perwic. — Żadne przestrogi nie odwiodą mnie od moich zamiarów! Pójdę w ślady mego brata. Może mi się uda jeszcze wyratować go lub zemścić się za śmierć, jeśli go śmierć spotkała! Nie mam czasu do stracenia, nie chcę zwłoki, ni wychnienia! Wskaż mi drogę, starcze siwy, między cuda, między dziwy!

Derwisz wyjął złotą kulę z torby, którą miał u pasa, podał kulę Perwicowi i powiedział mu słowo w słowo to samo, co niegdyś Bachmanowi.

Dosiadł Perwic konia, rzucił przed siebie kulę złotą i popędził w ślad za nią.

Potoczyła się kula po drodze, po piasku, połyskując co chwila w słonecznym rozblasku.

Toczyła się tak długo, aż się wreszcie przytoczyła do podnóża Góry-Cmentarnicy — i znieruchomiła.

Zeskoczył Perwic z konia na ziemię — a koń, jeźdźca pozbyty, stanął w miejscu, jak wryty.

Tuż obok u stóp Góry-Cmentarnicy stał koń bułany i czekał na powrót Bachmana.

— Poznaję cię, koniu bułany, wierny koniu mego brata! — zawołał Perwic. — Stójże tu obok mego, cisawego, i czekaj cierpliwie, aż przyjdę z powrotem i powiem ci, co się z panem twoim stało!

Już zmierzch upadł na ziemię. Pierwsza gwiazda błysła w błękicie. Perwic od razu znalazł ścieżkę-złotobrzeżkę, która tliła się w zmierzchu światłem pozłocistym. Ścieżką-złotobrzeżką wkroczył na Górę-Cmentarnicę i szedł mężnie, szybkim krokiem, dziwną ścieżką mierząc okiem.

Wkrótce ścieżka-złotobrzeżka rozszerzyła się w drogę obszerną, w drogę przestronną. Po obu stronach drogi stały w ładzie i bezładzie posągi — kamienne dziwolągi. Długie cienie padały od posągów na drogę. Perwic szedł po tych cieniach, co mu się kładły pod stopy. Szedł i powtarzał w duchu:

— Choćby piorun strzelił w niebie — nie obejrzę się za siebie!

Ledwo w myśli domówił tych słów — a nagle tuż za nim uderzył piorun niespodziany. Echo powtórzyło głuchy łoskot piorunu. Uśmiechnął się pod wąsem Perwic i pomyślał:

— Nie nastraszą mnie takie strachy, nie ulękną mnie takie lęki! Nie boję się piorunów! Szkoda tylko, że noc taka ciemna. Pies by się zabłąkał w takiej ciemności.

Strach, Odwaga, Kuszenie,  
Duch  
Piorun

Ledwo Perwic słowo: pies — w myśli domówił — a natychmiast usłyszał za sobą szczekanie i wycie.

— Cóż to za psy-przybłądy włóczą się po Górze-Cmentarnicy? — pomyślał Perwic. — Zdawało mi się, że na tej górze kryją się nie psy, lecz smoki, które miauczą po kociemu, zgrzytają zębami, szumią skrzydłami i spadają niespodzianie na kark przechodniom, aby z nich wyssać krew całą.

Ledwo to pomyślał — a nagle coś w pobliżu zamiauczało po kociemu, zazgrzytało zębami i zaszumiało skrzydłami tuż nad jego karkiem. Wszakże Perwic nie obejrzał się za siebie i szedł śmiało dalej.

— Nie boję się smoków! — powiedział głośno. — Gdybym miał przy sobie strzelbę, chętnie bym takiego smoka upolował!

Ledwo słowo: strzelba — wymówił, a usłyszał za sobą Głos i Odgłos.

— Czy masz strzelbę przy sobie? — mówił Głos.

— Mam! — odpowiedział Odgłos.

— Nabij ją, a dobrze! — mówił Głos.

— Już nabiłem — odpowiedział Odgłos.

— Czy widzisz tego śmiałka, co kroczy dumnie po Górze-Cmentarnicy? — mówił Głos.

— Widzę — odpowiedział Odgłos.

— Wymierz mu lufą w same plecy! — mówił Głos.

— Już wymierzyłem! — odpowiedział Odgłos.

Dreszcz zimny przebiegł po plecach Perwica.

— Strzelaj, bo już czas! — zawołał Głos.

Rozległ się wystrzał tak potężny, że powietrze zadygotało, rwąc się niby w strzępy. Perwic uczył, jak kula, o mało weń nie trafiwszy, świsnęła mu tuż nad uchem i zaryła się opodal w ziemię.

Nie obejrzał się Perwic za siebie i szedł dalej. Zaczął nawet drwić głośno z tych strachów niewidzialnych.

— Hej, wy tam, za mną, zakłęci i niewidzialni! — zawołał dumnie. — Kryjcie się za moimi plecami, zamiast spotkać się ze mną oko w oko! Nie umiecie strzelać! Nie trafiliście we mnie! Jestem żyw i zdrów! Daleka jeszcze ta chwila, gdy trzeba będzie grób dla mnie kopać!

Głos i Odgłos zbliżyły się naraz do Perwica.

— Czy masz motykę? — mówił Głos.

— Mam — odpowiedział Odgłos.

— Kopmy dół dla tego śmiałka, bo już czas! — mówił Głos.

— Kopmy, kopmy! — odpowiedział Odgłos.

Perwic posłyszał za sobą głucho uderzenia motyki.

— Nie przestraszysz mnie wasza motyka, duchy niewidzialne! — zawołał gniewnie. — Wiem, że dopóty nic mi złego zrobić nie możecie, dopóki nie obejrzą się za siebie. Otóż przysięgam wam, moce niewidzialne, że nie obejrzą się, choćbyście największą skałę z gór wierzchoła stoczyły na mnie tak, że czułbym za plecami zbliżający się co chwila jej ciężar i ogrom, który śmiercią grozi każdemu, kogokolwiek spotka na drodze.

Zaśmiał się Głos, odeśmiał się Odgłos.

— Widzisz skałę na wierzchole? — mówił Głos.

— Widzę — odpowiedział Odgłos.

— Zwal ją tak z wierzchoła, aby się potoczyła po drodze i ugodziła w plecy tego śmiałka! — zawołał Głos.

— Już jestem na wierzchole! — odpowiedział Odgłos. — Jużem skałę z posad ruszył<sup>4</sup>! Jużem stoczył ją na drogę!

W tej chwili Perwic posłyszał, jak olbrzymia skała z gruchotem i łoskotem tysiąca piorunów zerwała się z wierzchoła góry i potoczyła po drodze. Ziemia pod nią zadudniła, zachwiały się wokół posągi — kamienne dziwołagi, a skała, grmiąc, toczyła się z niepowstrzymaną siłą, z niepowściągniętym rozpędem. Toczyła się, zmiatając i miażdżąc po drodze wszystko, cokolwiek spotkała. — Tak się przynajmniej zdawało Perwicowi.

Klęska

<sup>4</sup>jużem ruszył, jużem stoczył — dziś: już ruszyłem, już stoczyłem. [przypis edytorski]

I nie widział Perwic skały i nie patrzył w jej ogromy, jeno w uszach mu huczały jej łoskoty, niby gromy!

Uszy jego napelniły się takim hukiem, że o mało nie stracił przytomności. Uczuł nagle rozpędzoną skałę tuż za sobą. Jeszcze chwila — a uderzy go i zmiażdży na miejscu! Nie wytrzymał Perwic i obejrzał się za siebie, aby zawczasu w bok odskoczyć i uniknąć uderzenia skały. Obejrzał się — i natychmiast w posąg martwy skamieniał.

Długi cień od nowego posągu upadł na drogę obszerną, na drogę przestronną i zmieształ się z cieniami innych posągów — kamiennych dziwolągów.

Cisza nagle zapanowała na Górze-Cmentarnicy. Zamilkły Głosy i Odgłosy i łoskot skały. Zamilkło wszystko, co nie było milczeniem. Ucichło wszystko, co nie było ciszą. Pierzchła wszelka złuda — skończyły się cuda. Po skończonym cudzie — pustka i bezludzie. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrzękły w tej martwocie.

\*

Tymczasem w samotnym pałacu Parysada niecierpliwie wyczekiwała powrotu Perwica. Przez dni dwadzieścia co dzień o poranku przebierała bez przestanku różaniec perłowy. Lecz przez dni dwadzieścia perły różańca przesuwwały się swobodnie na nici złotej. Wówczas Parysada mówiła z uśmiechem radosnym:

— Perwic zdrow i żyw i nic mu się złego nie stało!

Nadszedł dzień dwudziesty pierwszy. Pochwyciła Parysada różaniec, aby perły przesunąć — lecz nadaremnie!... Perły stężały, wzajem się szepiły i na złotej nici nieruchomo tkwiły. Próżno Parysada targała perłę za perłą, próżno starała się przesunąć je po dawnemu! Ani jedna perła nie poruszyła się na złotej nici!

Zbladła Parysada, załamała ręce i rzekła do siebie w żalości i w męce:

— Brat mój Perwic zginął w nieznanym ustroniu i już nie powróci na cisawym koniu! Plakałabym chętnie, plakałabym rada, lecz nie umiem płakać, choć płakać wypada. Kto na lzy czas traci, ten zna tylko żale. Po tropach mych braci pojedę w oddale. Wszak mój konik siwy rączo mnie poniesie przez pola, przez niwy, po jarach, po lesie!

Pobiegła Parysada na podwórze, osiodłała konia siwego i na koniku siwym popędziła drogą zakłęta, sennem zieleń porośniętą, pełną ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia.

Biegnie konik siwy, wiatr mu grzywę czesze, a on podkówkami skry po drodze krzesze. Noc za nocą mija, dzień za dniem przepada — nie czuje zmęczenia piękna Parysada.

Przez dni dwadzieścia jechała Parysada, ani kroku nie zwalniając, ani z drogi nie zbaczając.

Po dniach dwudziestu ujrzała przed sobą skałę, a pod skałą źródło.

Zeskoczyła z konia i stanęła przy źródle, pod skałą. Ledwo stanęła — a natychmiast z lasu wyszedł jej na spotkanie derwisz stary.

— Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! — wołał derwisz. — Trzysta trzydzieści trzy lata żyję na świecie, i nie wolno mi zasnąć snem wiekuistym i nie wolno mi odpocząć w ciszy mogilnej! Dziś właśnie dzień mych urodzin, a jutro dzień mych imienin. Straciłem od dawna ojca i matkę i straciłem od dawna pamięć, więc nie pamiętam, o której godzinie na świat przyszedłem, i nie pamiętam, jak mi na imię! Czy los zlituje się nade mną w dniu mych urodzin lub w dniu mych imienin i czy pozwoli mi nareszcie umrzeć, jak innym ludziom pozwala? Czy też będę musiał nadal istnieć i trwać, i czuwać, i wskazywać młodym szaleńcom drogę do trzech dziwów, ukrytych na szczycie Góry-Cmentarnicy?

— Derwiszu! — zawołała Parysada. — Chcę cię właśnie prosić, abyś mi wskazał tę drogę!

— Dziewczyno szalona! — rzekł derwisz. — Nigdy jeszcze żadna kobieta nie ośmieliła się w taką podróż wyruszyć! Tysiące rycerzy zginęło tam bez wieści, a ty, dziewczyno słaba i niedoświadczona, chcesz iść w ich ślady? Niedawno poszli tam dwaj młodzieńce i już nie powrócili.

— To na pewno moi bracia! — rzekła Parysada. — Daremne twe przestrogi, derwiszu. Nikt i nic nie odmieni mego postanowienia! Daj mi lepiej rady i wskazówki, abym

Starość, Przemijanie,  
Obowiązek, Zmęczenie

Kobieta

mogła uniknąć niebezpieczeństw.

— Widzę, że nie odwiode cię od twoich zamiarów — rzekł derwisz. — Wolę więc wspomóc cię radami i wskazówkami. Słuchaj tedy uważnie!

I derwisz słowo w słowo opowiedział Parysadzcie to samo, co Bachmanowi i Perwicowi. Wyjął wreszcie złotą kulę z torby, którą miał u pasa, i podał kulę Parysadzcie.

Parysada wzięła kulę i rzekła:

— Derwiszu, czy nie masz przypadkiem waty w swej torbie?

— Mam — odpowiedział derwisz.

— Daj mi spory kawał waty, bo mi się przyda.

Derwisz podał jej watę i spytał zdziwiony:

— Na cóż ci się przyda wata w tej podróży?

Uśmiechnęła się Parysada i odrzekła:

— Wszak sam mówisz, że czeka mnie walka z duchami niewidzialnymi. Duchom tym nie wolno przybrać żadnych kształtów, nie wolno zjawić się w postaci potworów lub strachów widomych. Nie mogą one przstraszyć moich oczu, jeno mogą przerazić moje uszy, szeptami i wrzaskami będą się starały zmusić mnie do tego, abym się obejrzała za siebie.

Pozatykam watą uszy — wata wszelkie wrzaski zgłuszy. Może mi się wówczas uda zdobyć trzy na Górze cuda, i może dowiem się, co się stało z moimi braćmi.

— Jesteś mądra i domyślna — rzekł derwisz. — Niech los ci sprzyja.

Parysada dosiadła konia i rzuciła przed siebie kulę złotą. Toczyła się kula tak długo, aż stanęła wreszcie u podnóża Góry-Cmentarnicy.

Parysada zeskoczyła z konia, rzucając mu cugle swobodnie. Koń stanął, jak wryty, obok dwóch innych koni, które Parysada natychmiast poznała.

— Stójże, mój koniku siwy, obok bułanego. A niech zaś bułany stoi obok cisawego. Może wrócę z moimi braćmi, wodą was napoję! Trzy potrzebne są rumaki tam, gdzie jeźdźców troje!

Zmierzch już zapadał. Pierwsza gwiazda błysnęła w niebiosach. Parysada mocno zatkała uszy watą i spojrzała wokół. Od razu spostrzegła ścieżkę-złotobrzeżkę, która się tliła w zmięczeniu światłem pozłocistym. Po ścieżce-złotobrzeżce wstąpiła Parysada na zbocze Góry-Cmentarnicy i poszła śmiało przed siebie, coraz wyżej, coraz chyżej, dumając na przemian to o trzech dziwach, to o dwóch braciach.

Wkrótce ścieżka-złotobrzeżka rozszerzyła się w drogę obszerną, w drogę przestronną.

Cicho było i bezludnie na drodze obszernej, na drodze przestronnej. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrzękły w tej martwocie. Martwo, i pusto, i straszno, i bezludnie!

Po obu stronach drogi w ładzie i bezładzie stały i sterczały posągi — kamienne dziwolągi. Stał jeden obok drugiego, posąg obok posągu, dziwolaż obok dziwolażu. Długie cienie padały od nich na drogę. Parysada szła po tych cieniach, które jej się kładły pod stopy. Szła i myślała:

— Może wśród tych posągów są i obydwaj bracia moi, w martwy kamień zakłęci? Stoją na Górze-Cmentarnicy i kamiennymi oczyma patrzą przed siebie. Lecz kamienne oczy zobaczyć nie mogą siostry, która kroczy niebezpieczną drogą. A kamienne wargi nie mają tej mocy, aby, głosząc skargi, wołać ku pomocy! Stoi głaz przy głazie i ślepy, i głuchy, a naokół krążą niewidzialne duchy!

Tak myślała Parysada, idąc po drodze obszernej, po drodze przestronnej. Postrze-gły<sup>5</sup> ją od dawna duchy niewidzialne i zaczęły się naradzać, jakimi szeptami i wrzaskami, i głosami, i odgłosami przerazić mają tę śmiałą dziewczynę? Jaką zmorą ją zmorzyć? Jaką trwogą zatrwożyć? Jakim skokiem zaskoczyć? Jakim mrokiem zamroczyć.

Naradziły się, namyśliły się i zaczęły straszyć Parysadę. Straszły ją krzykiem i wężowym sykiem, i płaczem, i śmiechem, i martwym oddechem, szmerem i tętentem, groźbą i lamentem, szelestem i traskiem, wystrzałem i wrzaskiem, skomleniem, szczekaniem i nawoływaniem, jękiem i łoskotem, piorunem i grzmotem! Straszły ją długo i pracowicie, i niez mordowanie, i przebiegle!... Lecz próżne były ich wysiłki! Próżna było ich praca niewidzialna i przebiegłość czarnoksięska! Parysada nic nie słyszała. Miała waty

<sup>5</sup>postrzec (daw.) — spostrzec, zauważyć. [przypis edytorski]

pełne uszy, a zaś męstwo miała w duszy. Szła dalej po drodze obszernej, po drodze przestronnej, szła w zakłęte, obce światy, nie wyjmując z uszu waty. Szła noc całą bez ustanku aż do świtu, do poranku. Świt zaświtał, błękit zablękitniał, rosa kwiaty zrosiła, w słońcu się zasrebrzyła.

Doszła Parysada aż do szczytu Góry-Cmentarnicy. A na samym szczycie — czarodziejskie życie! Pogoda i wiosna, i bajka radosna!

Spojrzała Parysada w pogodę i wiosnę, i w bajkę, ukrytą na szczycie Góry-Cmentarnicy. Spojrzała — i natychmiast postrzegła cokół marmurowy. A na tym cokole mech porastał z rzadka, a na mchu tym stała pozłocista klatka. W klatce siedział ptak Bulbulezar.

Ptak, Sługa

Skrzydła miał pawie, szyję — łabędzią, dziób — bociani, pazury — sępie, a oczy — jaskółcze. Dziobem ciągle poruszał, skrzydła ciągle napuszał, a pazury zaciskał, a oczami połyskał.

Podbiegła Parysada do Bulbulezara i wzięła klatkę do ręki. Watę z uszu wyrzuciła i do ptaka przemówiła:

— Jestem teraz twoją panią, a ty — moim sługą. Każdy mój rozkaz spełniać musisz. Już się nie lękam duchów niewidzialnych, bo nie mają władzy nad tym, kto posiada twoją klatkę pozłocistą, a w klatce ciebie, dziwaczny Bulbulezarze!

— Jestem twoim sługą, a ty — moją panią! — odpowiedział Bulbulezar. — Każdy twój rozkaz będę spełniał niezwłocznie. Musisz mi tylko dostarczać dużo wonnego tytoniu, gdyż pasjami lubię palić fajkę, którą ukrywam zazwyczaj pod skrzydłem. Jest to jedyny mój nałóg. Zresztą nie mam innych nałogów, przywar, nawyknień i wybryków. Na dowód przyjaźni opowiem ci natychmiast najpiękniejszą i najstraszniejszą bajkę.

Bulbulezar się nasrożył, błysnął okiem, dziób otworzył, głosem ludzkim począł gadać, bajkę-straszkę opowiadać. Szeptał, sykał, ślepie mrużył, długą bajkę coraz dłużył... A gdy wreszcie skończył bajkę, wnet spod skrzydła wyjął fajkę, przestał gadać, szeptać, sykać — począł dumnie fajkę pykać.

— Dość tych bajek! — zawołała Parysada. — Dość gadania i gładzenia! Nie mam czasu do stracenia! Wskaż mi natychmiast drogę do dęba-samograja.

Poszła Parysada przed siebie, trzymając klatkę w ręku, a Bulbulezar drogę jej wskazywał.

Wkrótce zobaczyła nad przepaścią, nad otchłanią dęb olbrzymi liściem gęsto porośnięty. Był to dąb-samograj. Dąb bez wiatru się zachwiewał, lecz nie szumiał, jeno śpiewał. I nie śpiewał, jeno grał, jakby w sobie harfę miał. Płynął wokół dźwięk harfiany, rozedrgany, rozśpiewany, rozedrgany gałęziście, rozśpiewany poprzez liście.

Drzewo, Muzyka, Czary

Zasłuchała się Parysada w harfiane dźwięki dęba-samograja i długo, długo nie mogła się ich nasłuchać, nie mogła się nimi nacieszyć. Otrząsnęła się wreszcie ze swego zasłuchania i rzekła:

— Dość tych śpiewów i dzwonienia! Nie mam czasu do stracenia! Naucz mnie, Bulbulezarze, jak mam ten dąb przenieść ze szczytu Góry-Cmentarnicy do mego ogrodu. Czy mam go wykopać? Czy zrąbać toporem? Czy piłą przepiłować?

— Ani wykopać, ani zrąbać toporem, ani piłą przepiłować — odpowiedział Bulbulezar. — Zerwij z niego jedną, małą gałązkę i zasadź ją w swoim ogrodzie. Gałązka natychmiast rozrośnie się w dąb taki sam, jak ten, który tu widzisz przed sobą.

Zerwała Parysada gałązkę małą z dęba-samograja i schowała ją w zanadrze.

— Powiedz mi teraz, Bulbulezarze, gdzie się znajduje struga-złotosmuga?

Bulbulezar wskazał drogę, i Parysada wkrótce doszła zboczem Góry-Cmentarnicy do polany-samotnicy.

A na tej polanie — słoneczne świtanie, a w środku polany — basen cembrowany, a w tym basenie — struga złotosmuga.

Podbiegła Parysada do basenu i zajrzała ciekawie do wnętrza. A w tym wnętrzu struga-złotosmuga jarzyła się, iskrzyła się i tryskała w błękitny złocistym strumieniem. Wybiegał strumień ku górze, rozpryskiwał się w lazurze i do basenu z powrotem opadał skroplonym złotem, opadał perlistym deszczem, wstrząsany wiatrem i dreszczem.

Woda, Czary

Zapatrzyła się Parysada w strugę-złotosmugą i nie mogła się na nią napatrzeć, ani dość się nadziwić, ani się nacieszyć jej widokiem.

Otrząsnęła się wreszcie ze swego zapatrzenia i rzekła:

— Dość tych cudów i patrzenia! Nie mam czasu do stracenia! Naucz mnie, Bulbulezarze, jak mam tę strugę-złotomugę przenieść z Góry-Cmentarnicy do mego ogrodu. Czyli mam basen cały z ziemi wyrycić? Czyli tysiącem dzbanów wodę z niego wyczerpać?

— Ani basenu z ziemi wyrycić nie potrzeba, ani dzbanów tysiącem wody z niego wyczerpać! — odpowiedział Bulbulezar. — Zerwij dzwonek błękitny, co pod basenem rośnie. Napelnij ten dzwonek wodą po brzegi — woda się z dzwonka nie wyleje. Śmiało więc schowaj go w zanadrze. Gdy wrócisz do domu, każesz w swoim ogrodzie inny basen wymurować i naokół ocembrować. Wylejesz wodę z dzwonka do basenu, a odrobina tej wody natychmiast pocznie wzbierać i napelni twój basen po brzegi.

Zerwała Parysada dzwonek błękitny, napelniła go wodą z basenu i schowała w zanadrze.

— Teraz mi powiedz, Bulbulezarze, co mam uczynić, aby posągom kamiennym życie dawne powrócić?

— Obejrzyj się za siebie! — rzekł Bulbulezar.

Obejrzała się Parysada i zobaczyła krzak różany, a w tym krzaku dzban zielony.

— Weź dzban zielony z różanego krzaka — mówił dalej Bulbulezar. — Dzban ten jest pełen soków żywicznych. Sokiem żywicznym skrop posągi kamienne, a ożyją wszystkie i w rycerzy się zamienią.

Pochwyliła Parysada dzban zielony i pobiegła na drogę obszerną, na drogę przestronną, gdzie stały posągi — kamienne dziwołagi. W jednym ręku dzban trzymała, a w drugim klatkę z Bulbulezarem.

Na drodze obszernej, na drodze przestronnej stoją posągi nieruchome. Sen je zdjął kamienny, sen zakłęty, sen niezwalczony.

Biegnie Parysada ku posągom i skrapia je po kolei sokiem żywicznym z zielonego dzbanu. Sok żywiczny ścieka po kamieniu. Kamień się porusza — ożywa w nim dusza. Budzi się posąg za posągiem, dziwołag za dziwołagiem. Budzi się i wdycha, ze snu się otrząsa, w rycerza się zmienia i pokręca wężem. I pokręca wężem, i unosi czoła, i coś przypomina, patrząc dookoła!

Już tysiące posągów pokropiła Parysada sokiem żywicznym. Obudziły się wszystkie ze snu kamiennego. Zaroił się tłum rycerzy na drodze obszernej, na drodze przestronnej... Zaroili się, zamyśliłi się o tym, co się z nimi działo. Wspominali dni minione, wspominali sny prześnione i kamienne odrętwienie, i cudowne przebudzenie.

Parysada podeszła do dwóch posągów, które stały jeden obok drugiego, spojrzła na nie i rzekła:

— Posąg przy posągu, głaz przy głazie stoi... Serce mówi do mnie, że to bracia moi!

Pokropiła Parysada sokiem żywicznym obydwu posągi — i obydwu drgnęły życiem od stóp do głów. Jeden się zamienił w Bachmana, a drugi w Perwicę.

— Siostró nasza! — zawołali Bachman i Perwicę, ujrzawszy Parysadę. — Śniło się nam właśnie, że jesteśmy w domu razem z tobą, a tymczasem znajdujemy się na jakiejś górze nieznannej. Nie możemy przypomnieć, co się z nami działo? Nie możemy zrozumieć, co się z nami stało?

— Opowiem wam potem, co się z wami działo — odrzekła Parysada. — Spaliście snem kamiennym, a ja was zbudziłam.

— Cóż to za dziwnego ptaka masz w klatce? — spytał Bachman, spostrzegając klatkę złocistą w ręku Parysady.

— Jest to ptak Bulbulezar — odparła Parysada. Posłyszawszy to imię, Bachman i Perwicę przypomnieli sobie wszystko od początku do końca — od chwili, gdy z pałacu wyruszyli w podróż zakłętą, aż do chwili, gdy pod wpływem strachów niewidzialnych obejrzelili się za siebie.

— Parysado! — zawołał Perwicę. — Domyślałam się, że zwyciężyłaś duchy niewidzialne i zawiadnęłaś trzema dziwami.

— Nie zadawajcie mi teraz żadnych pytań, bo nie mam czasu! — rzekła Parysada. — Jeszcze trzy ostatnie posągi czekają na ocknienie. Muszę je sokiem żywicznym pokropić.

Parysada zbliżyła się do trzech ostatnich posągów i pokropiła je sokiem żywicznym. Dwa się zbudziły i w rycerzy się zmieniły, lecz trzeci pozostał posągiem — kamiennym

dziwołaniem.

— Bulbulezarze! — zawołała Parysada. — Czemuż ten trzeci posąg się nie zbudził, choć go pokropiłam sokiem żywicznym?

— Nie moja w tem wina, i nic na to poradzić nie mogę! — odrzekł Bulbulezar. — Tajemnicze losy wydały taki wyrok, iż tylko łyzy twoje mogą ten posąg ze snu kamiennego obudzić.

— Nie umiem płakać — rzekła Parysada — nie mogę więc łzami go pokropić.

— Każ swoim braciom, aby ten posąg zanieśli do twego pałacu — odpowiedział Bulbulezar — postaw go w swoim pokoju, a może się uda kiedyś ze snu go obudzić.

— Bachmanie, Perwicu! — zawołała Parysada. — Na ramiona posąg weźcie i do pałacu zanieście.

Bachman i Perwic wzięli posąg na ramiona i stanęli gotowi do drogi.

Tymczasem ocknieni rycerze przypomnieli sobie wszystko od początku do końca, od chwili, gdy ze swych domów wyruszyli w podróż zaklętą, aż do chwili, gdy pod wpływem strachów niewidzialnych obejrzeni się za siebie. Domyślili się, że spali snem kamiennym, przemienieni w posągi, i że ich z tego snu zbudziła piękna Parysada.

Otoczyli więc kołem Parysadę i zaczęli jej dziękować pięknym słowem i ukłonem, i spojrzeniem zachwyconym.

— Mężni rycerze! — zawołała Parysada. — Nie traćcie czasu na słowa, na ukłony, na spojrzenia, na zachwyty! Sen kamienny minął i zły urok zginął! Wracajcie do swoich krajów i do swoich pałaców. I mnie i braciom moim też śpieszno do domu.

Nieliczony tłum rycerzy z Parysadą, Bachmanem i Perwicem na czele począł schodzić z Góry-Cmentarnicy drogą obszerną, drogą przestronną.

Doszli wkrótce do ścieżki-złotobrzeżki i ścieżką-złotobrzeżką zsunęli się do podnóża Góry. U podnóża Góry pomiędzy drzewami i krzewami stały konie wierne, czekające na powrót swych panów. Parysada dawniej ich nie widziała, gdyż nazbyt była zajęta swoją podróżą. Teraz dopiero pomiędzy drzewami i krzewami ujrzała tysiące rumaków wiernych. Powsiadali rycerze na konie, pokłonili się raz jeszcze Parysadzcie i pomknęli — każdy do swego kraju, do swojej ojczyzny.

Zostały tylko trzy konie: bułany, cisawy i siwy. Dosiadła Parysada siwosza, a Bachman — bułanka, a Perwic — swego cisa.

Ruszyły konie z kopyta, kurz się zakłębił za nimi.

Bachman i Perwic wieźli na przemian posąg kamienny, a Parysada wiozła klatkę z Bulbulezarem.

Jechali, jechali, aż dojechali do tego miejsca, gdzie była skała, a pod skałą źródło. Koło źródła, pod skałą leżał trup derwisza. Był to właśnie dzień jego imienin. Po trzydziestu trzech latach daremnego wyczekiwania zasnął wreszcie snem wiekuistym. Parysada wraz z braćmi wykopała grób głęboki i pochowała derwisza, aby odpoczął w ciszy mogilnej.

Pochowawszy derwisza, wskoczyła na swego siwosza i popędziła dalej, a za nią popędził Bachman na bułanku i Perwic na cisie. Jechali — jechali, aż wreszcie dojechali do swego pałacu.

Natychmiast Parysada zasadziła w swym ogrodzie gałązkę dęba-samograja. Gałązka w jednej chwili urosła w dąb olbrzymi, który śpiewał, dzwonił, grał, jakby w sobie harfę miał.

Kazała potem Parysada wymurować basen w swym ogrodzie i przelała do basenu wodę z dzwonka błękitnego. Woda wezbrała, cały basen po brzegi wypełniła i trysnęła ku błękitom strumieniem pozłocistym.

Klatkę z Bulbulezarem postawiła Parysada na oknie swego pokoju, a obok okna umieściła posąg kamienny.

Wówczas dopiero opowiedziała Parysada swym braciom, jakim sposobem przedostała się na szczyt Góry-Cmentarnicy i jak ich ze snu kamiennego zbudziła.

Bracia pilnie słuchali jej opowiadania i otwierali oczy, i otwierali usta, i dziwili się, i nie mogli wyjść z podziwu.

— Jesteś mądra i odważna! — zawołali chórem. — Dumni jesteśmy z tego, że mamy taką siostrę!

Parysada odtąd często spoglądała na posąg kamienny w swoim pokoju i mówiła ze

Łzy

Uroda

smutkiem:

— Jakże ja cię obudzę, posągu kamienny, kiedy płakać nie umiem! Nie wiem, kto jesteś, ale ile razy spojrzę na ciebie, tyle razy serce mi mocniej w piersi bije.

Pewnego razu rzekł Bulbulezar do Parysady te słowa:

— Pochyl się ku mnie, uderzę cię dziobem w policzek, i od tego uderzenia wyskoczy ci na policzku brodawka.

— Okropny ptaku! — zawołała gniewnie Parysada. — Czyż nie wiesz o tym, że jestem najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt na świecie? Mam cerę gładką i czystą, i białą, jak śnieg. Czuję, że, gdyby mi na policzku wyskoczyła brodawka, rozplakałabym się po raz pierwszy w życiu rzewnymi łzami.

— Tego właśnie pragnę! — rzekł mądry Bulbulezar. — Jest to jedyny sposób zniewolenia cię do placzu. Z oczu twoich wytrysną łzy szczere i gorące. Pokropisz tymi łzami posąg kamienny i przywrócisz mu życie.

Zadumała się Parysada i po krótkiej zadumie przybliżyła twarz do klatki. Bulbulezar natychmiast ugodził ją dziobem w sam policzek. Na policzku Parysady wyskoczyła brodawka — brzydka, nieznośna, wstrętna, okropna!

Podbiegła Parysada do zwierciadła, zajrzała do jego głębi i — zbladła.

— Nieszczęście, nieszczęście! — zawołała, dłonie załamując. — Przestałam być najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt na świecie! Mam na policzku brodawkę brzydka, nieznośną, wstrętą i okropną!

I Parysada rozplakała się tak szczerze, tak rzewnie, tak serdecznie, że nawet Bulbulezar na widok jej rozpacz zaczął ciszką w klatce szlochać.

— To ja, Parysado! — zawołał głosem wzruszonym. — Zbliź się prędzej do posągu i pokrop go łzami.

Pokropiła Parysada posąg łzami. Posąg się poruszył, westchnął głęboko i zamienił się w pięknego królewicza.

— Parysado! — rzekł królewicz. — Długo czekałem na łzy twoje, lecz się ich wreszcie doczekałem. Dzięki tobie przestałem być kamieniem martwym i znów żyję! Jestem królewiczem. Państwo moje znajduje się tuż w pobliżu za twoim ogrodem. Pragnę, abyś została moją żoną. Dziś jeszcze sprawimy sobie wesele huczne, i będziesz królowa w moim królestwie!

— Królewiczu! — szepnęła Parysada. — Zawsze pragnęłam zostać żoną takiego, jak ty, młodzieńca. Nie wiem tylko, czy mam prawo wyjść za mąż za ciebie?

— Cóż ci stoi na przeszkodzie? — spytał znowu królewicz.

— Stoi mi na przeszkodzie pewna rzecz brzydka, wstrętna, nieznośna i okropna.

— Jak się ta rzecz nazywa? — spytał znowu królewicz.

— Brodawka — szepnęła Parysada, spuszczać wstydliwie oczy.

Dopiero teraz królewicz zauważył brodawkę na policzku Parysady.

— Parysado! — zawołał z klatki Bulbulezar. — Zdejmij z palca królewicza sygnet brylantowy i brylantem tego sygnetu dotknij brodawki — a zniknie natychmiast.

Uczyniła to Parysada, i brodawka znikła.

— Teraz już mi nic nie stoi na przeszkodzie do tego, aby zostać żoną królewicza! — zawołała uradowana Parysada.

Królewicz ujął ją za rękę i zaprowadził do swego królestwa. Tegoż dnia odbyło się wesele huczne, podczas wesela Parysada kazała przenieść wszystkie trzy dziwy do swego nowego pałacu i ogrodu. Goście jedli, pili, świetnie się bawili! Płasniano, tańczono, dziwom się dziwiono! Był na weselu i Bachman, i Perwic. Królewicz ścisnął ich serdecznie, nazywał swymi braćmi, mówił do nich po imieniu i był dla nich wielce czuły, poklepał ich po ramieniu i dał książęce tytuły.

Łzy

Przemiana, Oświadczyły



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-sezamowe-basn-o-pieknej-parysadzcie-i-o-ptaku-bulbulezarze>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, Klechdy sezamowe, Wydaw. J. Mortkowicza, Kraków, Warszawa 1913

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: [Andrey Zeigarnik@Flickr](mailto:AndreyZeigarnik@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.